



WIKTOR PIELEWIN

Omon Ra i inne opowiesci

Pielewin pochyla się w przeszłość,
aby ucałować dłoń Buthakowa,
i przy okazji wprowadza nas
w XXI wiek.

Wiktor Jerofiejew



Wiktor Pielewin (ur. 1962) jest m.in. autorem książek: *Mały palec Buddy* (1996; W.A.B. 2003), *Życie owadów* (1997; W.A.B. 2004), *Generation 'P'* (1999; W.A.B. 2002), *Święta księga wilkołaka* (2004; W.A.B. 2006) oraz *Hełm grozy* (wyd. pol. 2006). W Rosji każda powieść Pielewina staje się wydarzeniem. W styczniu 2002 roku rosyjska organizacja młodzieżowa popierająca Władimira Putina ogłosiła listę pisarzy i książek „słusznych” i „niesłusznych” – nazwisko Pielewina otwiera tę drugą. W 1998 roku „The New York Times” uznał Pielewina za jednego z sześciu najzdolniejszych młodych pisarzy europejskich. Teksty znajdujące się w prezentowanym zbiorze: *Samotnik i Sześciopalcy* (1990), *Omon Ra* (1992), *Żółta Strzała* (1992), należą do wczesnych utworów autora. Pielewin został dwukrotnie uhonorowany najważniejszą w Rosji nagrodą literacką, rosyjskim Bookerem: za minipowieść *Żółta Strzała* oraz za debiutancki tom prozy *Sinij fonař* (Niebieska latarnia, 1991), z którego pochodzi opowiadanie *Samotnik i Sześciopalcy*. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukaze się wkrótce najnowsza powieść autora, *Empire V* (2006).

WIKTOR PIELEWIN
Omon Ra i inne opowiesci



W serii ukazały się:

- David Adams Richards *Grzech miłosierdzia*
Majgull Axelsson *Kwietniowa czarownica* ·
Daleko od Niflheimu
Aharon Appelfeld *Droga żelazna* · *Badenheim 1939*
John Banville *Zaćmienie*
Attila Bartis *Spokój*
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
Thomas Bernhard *Wymazywanie*
Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
Michel Faber *Pod skórą* · *Szkarlatny płatek i biały*
Jonathan Safran Foer *Wszystko jest iluminacją* ·
Strasznie głośno, niesamowicie blisko
Laurent Gaudé *Słońce Scortów*
David Gilbert *Normalsi*
Julia Glass *Trzy czerwce*
Juan Goytisolo *Makbara*
Jan Guillou *Zło*
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne* · *Platforma* ·
Poszerzenie pola walki · *Możliwość wyspy*
Daniel Kehlmann *Berholm przedstawia*
Imre Kertész *Los utracony* · *Kadysz za nienarodzone dziecko* ·
Likwidacja · *Fiasko* · *Ja, inny. Kronika przemiany* ·
Angielska flaga
Michaił Kononow *Goła pionierka*
László Krasznahorkai *Szatańskie tango*
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
Harry Mulisch *Procedura* · *Odkrycie nieba*
Wiktor Pielewin *Generation ,P'* · *Mały palec Buddy* ·
Święta księga wilkołaka · *Życie owadów*
W.G. Sebald *Wyjechali*
Zeruya Shalev *Życie miłosne* · *Mąż i żona*
Władimir Sorokin *Lód* · *Bro*
Jáchym Topol *Siostra* · *Nocna praca*
Mo Yan *Kraina wódek*
Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
Juli Zeh *Orły i anioły*

WIKTOR PIELEWIN

Omon Ra i inne opowieści

Przełożyła
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Tytuł oryginału:

Омон Ра, Затворник и шестипальный, Желтая стрела

Omon Ra ©1992 by Victor Pelevin

Żółta Strzala © by Victor Pelevin 1992

Samotnik i Szczęściopalczy © by Victor Pelevin 1990

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I

Warszawa 2007

Omon Ra

Omon* nie jest imieniem zbyt popularnym i zapewne nie najpiękniejszym. Nazwał mnie tak ojciec, który całe życie przepracował w milicji i chciał, żebym ja także został milicjantem.

- Pomyśl, Omka - mawiał często, kiedy sobie podpił - jak pójdziesz do milicji, to z takim imieniem... A gdybyś jeszcze wstąpił do partii...

Chociaż ojciec nieraz musiał strzelać do ludzi, był człowiekiem o miękkim sercu, z natury dobrym i wrażliwym. Bardzo mnie kochał i miał nadzieję, że przynajmniej ja osiągnę w życiu to, co nie udało się jemu. A chciał dostać działkę pod Moskwą i zacząć hodować tam buraki i ogórki - nie po to, by je sprzedawać na bazarze albo jeść, chociaż to też, ale po to, by - rozebrany do pasa - wzruszać łopatą ziemię, patrzeć, jak uwijają się czerwone robaki i inni przedstawiciele podziemnego życia, żeby wozic przez całą osadę taczki z nawozem, zatrzymując się przy cudzych furtkach na pogawędkę. Kiedy zrozumiał, że nic z tego nie będzie, pozostała mu

* Otdiel miliciji osobogo naznaczenija - Specjalny Oddział Milicji (przyp. tłum.).

nadzieja, że szczęśliwe życie będzie miał choćby jeden z braci Kriwomazowów (mój starszy brat Owir*, z którego ojciec chciał zrobić dyplomatę, zmarł, będąc w czwartej klasie, na zapalenie opon mózgowych, a ja pamiętam tylko, że miał na czole wąskie, podługowate znamię).

Nie bardzo wierzyłem w plany ojca, dotyczące mojej przyszłości – on sam przecież był partyjny, miał porządne imię Matwiej, ale dosłużył się jedynie nędznej emerytury i samotnego starczego alkoholizmu.

Mamę pamiętam słabo. Pozostało mi o niej tylko jedno wspomnienie – jak pijany tata w mundurze usiłuje wyciągnąć z kabury pistolet, a ona, z gołą głową, cała we łzach, chwyta go za ręce i krzyczy:

– Matwiej, opamiętaj się!

Umarła, kiedy byłem całkiem mały, i wychowywałem się u ciotki, a ojca odwiedzałem w dni wolne od pracy. Zazwyczaj był opuchnięty i czerwony, z krzywo przypiętym do brudnej kurtki od piżamy orderem, którym bardzo się szczycił. W jego pokoju unosił się nieprzyjemny zapach, a na ścianie wisiała reprodukcja fresku Michała Anioła *Stworzenie świata*, gdzie nad leżącym na wznak Adamem unosi się brodaty Bóg, wyciągający dłoń ku cienkiej człowieczej ręce. Obraz ten dziwnie oddziaływał na ojca i chyba przypominał mu coś z przeszłości. Będąc u niego, przeważnie siedziałem na podłodze i bawiłem się małą kolejką, a on chrapał na rozłożonej wersalce. Niekiedy się budził, przez jakiś czas patrzył na mnie zmrużonymi oczyma, po czym, opierając się o podłogę,

* Otdiel wiz i registracyi – Wydział Wizowo-Meldunkowy (przyp. tłum.).

zwieszał się z kanapy i wyciągał do mnie dużą żyłastą dłoń, którą musiałem uścisnąć.

- Jak się nazywasz? - pytał.

- Kriwomazow - odpowiadałem, siłąc się na nieśmiały uśmiech, a on gładził mnie po głowie i częstował cukierkami; wszystko to robił tak mechanicznie, że nawet nie czułem wstrętu.

O ciotce niewiele mogę powiedzieć - traktowała mnie obojętnie i starała się, żebym jak najwięcej czasu spędzał na obozach pionierskich i w tak zwanych grupach przedłużonego dnia - nawiasem mówiąc, całe piękno tego ostatniego określenia dostrzegam dopiero teraz.

Ze swego dzieciństwa zapamiętałem tylko to, co wiązało się, że tak powiem, z marzeniem o niebie. Oczywiście, nie od tego rozpoczęło się moje życie - jeszcze wcześniej był długi, jasny pokój, pełen innych dzieci i dużych plastikowych klocków, bezładnie rozrzuconych po podłodze; były oblodzone stopnie drewnianej górki, po których śpiesznie wdrapywałem się na wierzchołek; byli na podwórku jacyś gipsowi, pomalowani na kolorowo trębacze i wiele innych rzeczy. Nie jestem jednak pewien, czy wszystko to widziałem właśnie ja: we wczesnym dzieciństwie (jak, być może, także po śmierci) człowiek podąża jednocześnie we wszystkie strony, toteż można uznać, że jeszcze nie istnieje; osobowość kształtuje się później, kiedy pojawia się przywiązanie do jakiegoś jednego kierunku.

Mieszkałem w pobliżu kina „Kosmos”. Nad naszą dzielnicą dominowała metalowa rakietka, ustawiona na zwężającym się słupie tytanowego dymu, przypominają-

cym wetknięty w ziemię olbrzymi jatagan. To dziwne, ale moje świadome życie zaczęło się nie od tej rakiety, lecz od drewnianego samolotu na placu zabaw przy naszym domu. Był to nie tyle samolot, ile raczej drewniany domek z dwoma okienkami, do którego w czasie remontu przybito skrzydła i ogon z desek po rozebranych parkanie, całość pokryto zieloną farbą i ozdobiono kilkoma dużymi rudymi gwiazdami. W środku mieściły się dwie, trzy osoby i był jeszcze niewielki stryżek z wychodzącym na ścianę Wojskowej Komisji Rejonowej trójkątnym okienkiem – wedle niepisanej umowy, stryżek ten odgrywał rolę kabiny pilota, i kiedy samolot zestrzeliwano, najpierw wyskakiwali ci, którzy siedzieli w kadłubie, a dopiero potem, kiedy ziemia pędziła już z rykiem ku oknom, mógł wyskoczyć również pilot – oczywiście, jeśli zdążył. Zawsze starałem się być pilotem i nawet opanowałem umiejętność widzenia nieba z chmurami i płynącej w dole ziemi na miejscu ceglanej ściany wojenkomatu, z którego okien smętnie wyglądały włochate fiołki i zakurzone kaktusy.

Bardzo lubiłem filmy o lotnikach; z jednym z takich filmów wiąże się najsilniejsze przeżycie mojego dzieciństwa. Pewnego razu, w kosmicznie czarny grudniowy wieczór, włączyłem telewizor ciotki i zobaczyłem na jego ekranie kołyszący skrzydłami samolot z asem pikowym i krzyżem na kadłubie. Pochyliłem się bliżej do ekranu i natychmiast ukazała się na nim w zbliżeniu latarnia kabiny: zza szyby uśmiechała się nie ludzka twarz w okularach przypominających narciarskie gogle i w hełmie z błyszczącymi ebonitowymi słuchawkami. Pilot uniósł

dłoń w rękawiczce z szerokim mankietem i pomachał do mnie. Potem na ekranie ukazało się wnętrze kadłuba drugiego samolotu: za dwoma jednakowymi wolantami siedzieli dwaj lotnicy w futrzanych kurtkach i przez obramowany stalowymi listwami pleksiglas obserwowali uważnie ewolucje lecącego tuż obok nieprzyjacielskiego myśliwca.

- Pas dziewięć - powiedział jeden lotnik do drugiego.
- Każą schodzić do lądowania.

Drugi, o przystojnej, zapitej twarzy, kiwnął głową.

- Nie mam do ciebie żalu - rzekł, najwyraźniej kontynuując przerwana rozmowę. - Ale pamiętaj: żeby to z Warią było na całe życie... Do grobowej deski.

Tu akcja filmu przestała do mnie docierać - olśniła mnie pewna myśl, nawet nie myśl, ale jej słabo uświadomiony cień (jakby sama myśl przemknęła gdzieś obok mojej głowy, muskając ją zaledwie), o tym, że skoro przed chwilą, spojrzawszy na ekran, jak gdyby popatrzyłem na świat z kabiny, w której siedzieli dwaj piloci w kozuszkach, to nic nie stoi na przeszkodzie, abym trafił do tej i każdej innej kabiny bez żadnego telewizora, ponieważ lot sprowadza się do zestawu wrażeń, z których najważniejsze dawno już nauczyłem się imitować, siedząc na stryszku skrzydlatej chatki z czerwoną gwiazdą, patrząc na zastępującą ziemię ścianę wojenkomatu i cicho naśladując warkot silnika.

Owo mgliste zrozumienie tak mną wstrząsnęło, że resztę filmu obejrzałem niezbyt uważnie, włączając się w telewizyjną rzeczywistość tylko wtedy, gdy na ekranie pojawiały się dymne smugi lub zbliżający się szybko

szereg stojących na ziemi nieprzyjacielskich samolotów. „A więc – myślałem – można patrzeć na siebie samego jak z samolotu, i nie jest ważne, skąd się patrzy – ważne, co się przy tym widzi...” Od tej pory, brnąc zimą ulicami, wyobrażałem sobie często, że lecę samolotem nad zaśnieżonym polem; skręcając, wyginałem szyję, świat zaś przechylał się posłusznie w prawo lub w lewo.

Mimo to jednak człowiek, którego bez żadnych wątpliwości mógłbym nazwać sobą, ukształtował się później i stopniowo. Za pierwszy przebłysk uświadomienia sobie swego prawdziwego „ja” uważam ową sekundę, w której zrozumiałem, że oprócz cienkiej, błękitnej błonki nieba można dążyć również do bezdennej czerni kosmosu. Stało się to też zimy, wieczorem, kiedy spacerowałem po WDNCh*. Szedłem pustą i ciemną zaśnieżoną aleją; nagle z lewej strony dobiegło brzęczenie, przypominające dzwonek ogromnego telefonu. Odwróciłem się i zobaczyłem g o.

Odchylony do tyłu, siedząc w pustce jak w fotelu, wolno płynął naprzód, a za nim równie powoli prostowały się w przestrzeni węże przewodów. Szybka jego hełmu była czarna, jaśniał na niej tylko trójkątny odbłask, ale wiedziałem, że on mnie widzi. Pewnie już od kilku stuleci był martwy. Jego ręce wyciągały się ku gwiazdom, a nogi tak dalece nie potrzebowały żadnego oparcia, że zrozumiałem raz na zawsze, iż prawdziwą wolność może

* Wystawka dostżeńij narodnogo choziajstwa – Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej, istniejący do dziś olbrzymi kompleks wystawowy, w którym odbywają się targi i imprezy kulturalne (przyp. tłum.).

dać człowiekowi jedynie nieważkość – dlatego, nawiasem mówiąc, taką nudę budziły we mnie przez całe życie głosy zachodnich radiostacji i utwory różnych Sołżenicynów; w głębi duszy czułem oczywiście wstręt do państwa, którego niejasne, ale groźne żądania zmuszały każdą, nawet powstającą na kilka sekund grupę ludzi, do usilnego naśladowania najbardziej plugawego spośród siebie – pojąwszy jednak, że pokoju i wolności nie sposób osiągnąć na ziemi, duchem skierowałem się w górę, i nic, czego wymagała obrona przeze mnie droga, nie stało już w żadnej sprzeczności z moim sumieniem, jako że sumienie wzywało mnie w kosmos i niezbyt się interesowało tym, co się dzieje na Ziemi.

Miałem przed sobą po prostu oświetloną reflektorem mozaikę na ścianie pawilonu, przedstawiającą kosmonautę w otwartym kosmosie, ale obraz ten w jednej chwili powiedział mi więcej niż dziesiątki książek, które do tego czasu przeczytałem. Patrzyłem na niego długo, a potem nagle poczułem, że ktoś patrzy na mnie.

Obejrzałem się i zobaczyłem tuż za sobą chłopca mniej więcej w moim wieku, wyglądającego dość niezwykle – na głowie miał skórzany hełm z błyszczącymi ebonitowymi słuchawkami, a na szyi majtały mu się plastikowe okulary do nurkowania. Był wyższy ode mnie o pół głowy i chyba nieco starszy; wszedł na oświetloną reflektorem przestrzeń, uniósł dłoń w skórzanej rękawicy, rozciągnął wargi w zimnym uśmiechu i moim oczom na sekundę ukazał się lotnik w kabinie myśliwca z asem pikowym na kadłubie.

Na imię było mu Mitek. Okazało się, że mieszkamy blisko siebie, chociaż chodzimy do różnych szkół. Mitek miał wątpliwości co do wielu spraw, ale jednego był pewien. Wiedział, że najpierw zostanie lotnikiem, a potem poleci na Księżyc.

2

Z pewnością istnieje jakaś dziwna zależność między ogólnym kształtem życia a owymi drobnymi historiami, które stale się człowiekowi przydarzają i do których nie przywiązuje on wagi. Teraz widzę jasno, że mój los zarysował się całkiem wyraźnie już wtedy, kiedy jeszcze nawet nie zastanawiałem się poważnie nad tym, jakim chciałbym go widzieć, i, co więcej – już wówczas został mi ukazany w nieco uproszczonej formie. Może było to echo przyszłości. A może to, co uważamy za echo przyszłości, jest w istocie ziarnem owej przyszłości, padającym na glebę w tym samym momencie, który potem, z oddali, wydaje się dochodzącym z przyszłości echem.

A więc lato po ukończeniu siódmej klasy było upalne i pełne kurzu. Z jego pierwszej połowy zapamiętałem długie przejażdżki rowerowe po jednej z podmoskiewskich szos. Na tylnym kole mojego półwyścigowego sporta umieściłem specjalną terkotkę ze złożonego kilkakrotnie grubego papieru, przyczepionego klamerką – kiedy jechałem, papier zahaczał o szprychy i wydawał szybkie, ciche terkotanie, przypominające warkot silnika samolotowego. Pędząc po asfalcie ze wzniesienia w dół,

wiele razy stawałem się atakującym cel myśliwcem, bynajmniej nie zawsze radzieckim, ale nie była to moja wina, po prostu zaraz na początku lata usłyszałem od kogoś idiotyczną piosenkę, w której były słowa: „Fantom szybko jak pocisk w błękit nieba się wznosi, z rykiem w modre przestworza mknie”. Muszę powiedzieć, że idiotyzm piosenki, którego byłem w pełni świadomy, nie przeszkadzał mi wzruszać się nią do głębi duszy. Jakie jeszcze słowa pamiętam? „Widzę mgliste zarysy pod niebem... Tam daleko mój Teksas ojczysty”. Był tam również ojciec i matka, i jakaś Mary, bardzo realna, ponieważ w piosence wymienione było jej nazwisko.

W pierwszej połowie lipca wróciłem do Moskwy, a potem rodzice Mitka zdobyli dla nas obu skierowania na obóz pionierski „Rakieta”. Był to zwykły obóz na południu, może trochę lepszy od innych. Dobrze zapamiętałem tylko pierwsze dni, któreśmy tam spędzili, ale właśnie wtedy wydarzyło się wszystko to, co później stało się istotne. W pociągu biegaliśmy z Mitkiem po wagonach i wrzucaliśmy do klozetów wszystkie butelki, jakie udało mi się znaleźć – spadały na przemykające pod niewielkim otworem podkłady i bezdźwięcznie pękały; prześladowająca mnie piosenka nadawała owej prostej procedurze posmak walki o wyzwolenie Wietnamu. Nazajutrz cały turnus, jadący jednym pociągiem, wyładowano na mokrym dworcu południowego miasta, przeliczono i wsadzono na ciężarówki. Długo jechaliśmy kluczącą między górami drogą, potem po prawej stronie ukazało się morze i jęły ku nam sunąć kolorowe domki. Wyszadzono nas na asfaltowym placu, ustawiono w szereg i poprowa-

dzono po obsadzonych cyprysami schodach do przeszklonego, płaskiego budynku na szczycie wzgórza. Była to stołówka, gdzie czekał na nas zimny obiad, choć nadeszła już pora kolacji – przyjechaliśmy o kilka godzin później, niż się nas spodziewano. Obiad był niezbyt smaczny – zupa z makaronem gwiazdkami, kurczak z ryżem i kompot.

W stołówce u sufitu na nitkach wypaćkanych jakimś lepkiem z wyglądu kuchennym świństwem wisały kartonowe statki kosmiczne. Zapatrzyłem się na jeden z nich. Bezimienny twórca zużył na niego mnóstwo cynfolii i gdzie tylko się dało, umieścił nazwę „ZSRR”. Statek wisiał przed naszym stolikiem i na jego kadłubie jarzyło się pomarańczowo zachodzące słońce, które nagle wydało mi się podobne do reflektora pociągu metra, pojawiającego się w czarnej otchłani tunelu. Nie wiem, czemu zrobiło mi się smutno.

Mitek, przeciwnie, był rozmowny i wesoły.

– W latach dwudziestych były jedne statki kosmiczne – mówił, wskazując widelcem w górę – w trzydziestych – inne, a w pięćdziesiątych jeszcze inne, i tak dalej.

– Jakie znowu statki kosmiczne w latach dwudziestych? – spytałem ospale.

Mitek zamyślił się na moment.

– U Aleksego Tołstoja były takie wielkie metalowe jaja i tam w krótkich odstępach czasu następowały wybuchy, co dawało energię wprawiającą statek w ruch – powiedział. – To podstawowa zasada. A wariantów może być dużo.

- Ale one przecież tak naprawdę nie latały - zaproponowałem.

- Te też nie latają - odparł, wskazując przedmioty naszej rozmowy, kołyszące się lekko w przeciagu.

Zrozumiałem wreszcie, co miał na myśli, chociaż nie potrafiłbym raczej wyrazić tego słowami. Jediną przestrzenią, w której latały gwiazdoloty komunistycznej przyszłości - à propos, napotykając słowo „gwiazdolot” w książkach fantastycznych, które bardzo lubiłem, uważałem z jakiegoś powodu, że jest ono związane z czerwonymi gwiazdami na kadłubach radzieckiego sprzętu kosmicznego - a więc, jedynym miejscem, w którym latały, była świadomość radzieckiego człowieka, zupełnie tak samo jak stołówka wokół nas była kosmosem, w który uczestnicy poprzedniego turnusu wystrzelili swoje statki, by te pręły przestwór czasu nad stolikami, kiedy samych twórców kartonowej floty już na obozie nie będzie. Ta myśl nałożyła się na szczególny, nieokreślony smutek, w który wprawiał mnie zawsze obozowy pionierski kompot z suszu, i przyszedł mi do głowy dziwny pomysł.

- Kiedyś bardzo lubiłem kleić plastikowe samoloty - powiedziałem. - Składaki. Szczególnie wojenne.

- Ja też - odparł Mitek. - Ale to było dawno.

- Podobały mi się zestawy enerdowskie. W naszych często nie było pilota. Kiedy kabina jest pusta, wygląda jak zwykle badziewie.

- Racja - powiedział Mitek. - A dlaczego ci się to nagle przypomniało?

- Zastanawiam się - tu wskazałem widelcem wiszący nad naszym stołem kartonowy gwiazdolot - czy tam jest ktoś w środku, czy nie?

- Nie wiem - odparł Mitek. - Ale rzeczywiście, to ciekawe.

Obóz leżał na łagodnym zboczu wzgórza; jego dolna część stanowiła coś w rodzaju parku. Mitek gdzieś zniknął i poszedłem do parku sam; po kilku minutach znalazłem się w długiej i pustej cyprysowej alei, gdzie panował już półmrok. Wzdłuż asfaltowej ścieżki dla pieszych ciągnęła się długa druciana siatka, na której wisiały wielkie tablice ze sklejki z rysunkami. Na pierwszej był pionier o pospolitej rosyjskiej twarzy, patrzący przed siebie i przyciskający do boku miedzianą trąbkę z chorągiewką. Na drugiej - ten sam pionier z werblem na rzemieniu i pałeczkami w rękach. Na trzeciej - też on, tak samo patrzący w dal spod wzniesionej w salucie ręki. Dalej wisiała tablica dwa razy wyższa od pozostałych i bardzo długa - miała chyba ze trzy metry. Była w dwóch kolorach: z prawej strony, skąd powoli szedłem - czerwona, a dalej biała, i te dwa kolory dzieliła wybiegająca na białe pole poszarpana fala, za którą ciągnął się czerwony ślad. Najpierw nie mogłem zrozumieć, co to jest, i dopiero podszedłszy bliżej, rozpoznałem w splocie czerwonych i białych plam twarz Lenina z przypominającym taran występem brody i otwartymi ustami; Lenin nie miał potylicy - tylko twarz, za którą cała czerwona połać była Leninem; przypominał bezcielesnego boga, jakby prze-

pływającego falą po powierzchni stworzonego przez siebie świata.

Potknąłem się na wyboju w asfalcie i przeniosłem wzrok na kolejną tablicę – znów był to pionier, ale już w kosmicznym skafandrze, z czerwonym hełmem w ręku; na hełmie był napis „ZSRR” i spiczasta antena. Następny pionier wychylał się z lecącej rakiety i salutował ręką w ciężkiej rękawicy. Ostatni też był pionier w skafandrze, stojący na wesołej, żółtej powierzchni Księżyca obok statku kosmicznego, podobnego do kartonowej rakiety ze stołówki; widać mu było tylko oczy, dokładnie takie same jak na pozostałych tablicach, ponieważ jednak resztę twarzy zasłaniał hełm, oczy wydawały się pełne niewysłowionego smutku.

Z tyłu dobiegły szybkie kroki – obejrzałem się i zobaczyłem Mitka.

- Zgadza się – powiedział, podchodząc.

- Co się zgadza?

- Zobacz. - Wyciągnął do mnie dłoń, na której leżało coś ciemnego. Dostrzegłem małą plastikową figurkę, której głowa oblepiona była folią.

- Tam w środku był malutki kartonowy fotel, na którym on siedział – powiedział Mitek.

- Coś ty, rozebrałeś raketę ze stołówki? – spytałem.

Kiwnął głową.

- Kiedy?

- Dopiero co. Dziesięć minut temu. Najdziwniejsze, że tam wszystko jest... - Skrzyżował palce na kształt kraty.

- W stołówce?

- Nie, w rakiecie. Robiąc ją, zaczęli od tego ludzika. Ulepili go, posadzili w fotelu i na głucho okleili ze wszystkich stron kartonem.

Mitek pokazał mi oddarty kawałek kartonu. Wziąłem go i zobaczyłem bardzo starannie i drobno wyrysowane przyrządy, dźwignie, guziki, nawet obrazek na ścianie.

- Ale co najciekawsze - powiedział Mitek z zadumą i jakimś przygnębieniem - nie było tam drzwi. Z wierzchu luk jest narysowany, a w środku na jego miejscu ściana z jakimiś cyferblatami.

Jeszcze raz popatrzyłem na kawałek kartonu i zauważyłem iluminator, w którym błękitniała malutka Ziemia.

- Niech no bym spotkał tego, co kleił tę raketę - odezwał się Mitek - zaraz bym mu dał w mordę.

- Za co? - spytałem.

Mitek nie odpowiedział. Zamiast tego zamachnął się, żeby cisnąć ludzika za siatkę, ale złapałem go za rękę i poprosiłem, żeby oddał figurkę mnie. Nie miał nic przeciwko temu i przez kolejne pół godziny szukałem pustego pudełka po papierosach na futerał.

Następstwa tego dziwnego odkrycia dopadły nas na zajutrz, podczas ciszy poobiedniej. Otworzyły się drzwi i zawołano Mitka; wyszedł na korytarz. Dobiegały stamtąd fragmenty rozmowy, kilka razy padło słowo „stołówka” i wszystko stało się dla mnie jasne. Wstałem i wyszedłem z sali. Mitka przypierali w kącie chudy, wąsaty zastępowy i niska, ruda zastępowa.